

*„... Gdyż Pan wodzi oczyma swoimi po całej ziemi, aby
wzmacniać tych, którzy szczerym sercem są przy nim ...”*

2 Kron. 16,9.

Nawet najstarsi ludzie nie pamiętali takiej zimy jaka panowała w grudniu roku 18., kiedy to pewnego adwentowego wieczoru furmani ze wsi Raszów znaleźli koło cmentarza zamarzlą kobietę i zawieźli ją do wójta.

U wójtowej siedziało właśnie kilka sąsiadek. Zajął się natychmiast znaną kobietą. Jedna rozwiązywała przemarzłą płachtę, druga trzymała głowę, trzecia świeciła. Nagle krzyknęły wszystkie – dziecko! Dziecko! Skostniałym ramieniem przytulała nieszczęśliwa matka do martwej piersi ładnego, żyjącego jeszcze chłopczyka. Zapłakały kobiety, zapłakało przebudzone dziecko; i nawet furmanom zwilgotniały oczy.

– Biedactwo.

Trzy dni później pogrzebano nieznajomą na koszt gminy. A miała ona ludu na pogrzebie, jak jaka bogata pani.

– Lecz cóż teraz zrobić z chłopczykiem? Ani wójt, ani sąd nie mogli się dowiedzieć, skąd matka pochodziła.

Zostanie dziecko ciężarem dla ubogiej wsi! – biadali skąpcy. Lecz nie zostało; zatrzymała je u siebie wójtowa. I choć go nie chowała jak własne, starała się, żeby nie zmarniało. Marcinek – tak nazwały chłopca kobiety, nie wiedząc, jak i gdzie go ochrzczono – kręcił się po domu wójta niczym psiak, bo nikt się za bardzo o niego nie troszczył; a przecież się chłopiec wychował. Jak tylko trochę podrośł, miała wójtowa z niego dużo pożytku. We wszystkim jej pomagał: drzewo do kuchni nosił, świnię pasł, gęsiom trawy nazbierał – do wszystkiego był chętny. I nie można było powiedzieć, żeby chłopcu najgorzej żyło się na świecie. Najeść mu się

dali i ubrali. Póki jeszcze był mniejszy, sypiał w kącie przy piecu, gdzie go wójtowa po raz pierwszy położyła, gdy jeszcze jego martwa matka była z nim w izbie, ale od piątego roku sypiał już w stajni. Nieraz siedziała koło chłopca gromadka królików, jakby się nad nim naradzając. Najbliższa krowa „Łysa” za każdym razem oglądała się na niego, gdy szedł do swojego barłogu. Dziwiła się, bo i ona i każde stworzenie kładąc się na spoczynek zawsze przyklęka i wzdycha do Boga, ten chłopiec natomiast nigdy się nie modlił. Nie wiedziała „Łysa” tego, że nie tylko gospodarze, ale nikt się o to nie troszczył i nie pytał, czy Marcinek umie się modlić?

Wójtowa dziecku krzywdy nie robiła, a niektórzy chwalili ją nawet, że się nad nim zlitowała. Do szkoły jednak Marcinek nie chodził.

– Po co – mawiała nieraz sąsiadce – takiego żebraka posyłać jeszcze do szkoły! Poza tym zimą czy latem zawsze jest nam w domu potrzebny!

Gdy Marcinkowi minęło już jedenaście lat, zaprowadziła go wójtowa na plebanie, żeby go ksiądz przyjął do nauki; lecz że nie umiał czytać, ani nawet zmówić „Ojcze nasz” – odprawiono go. A poduczyć go i ponownie zaprowadzić do księdza nikomu się nie chciało.

Jesienią tego samego roku umarła wójtowa, więc wójt dał chłopca pastuchowi wiejskiemu do pomocy.

Stary Andrzej – tak wołano na pastucha, bo nazwiska jego nikt nie znał – był już słaby i chorowity. Z trudnością nadążał za stadem, a pastwisko mieli Raszowianie aż pod samymi górami, przy lasach. Ale że już tyle lat służył gromadzie, nikt nie śmiał na stare lata pozbawić go chleba. Dano mu pomocnika. Marcinek był jakby stworzony na pastucha. Może dlatego, że już od dzieciństwa plątał się między bydłem i przywiązywało się do niego to nieme stworzenie. Gdy Marcinek rankiem po wsi trąbił, rogacizna w oborach podnosiła głowy: krowy, cielęta i owce biegły za głosem trąbki jak psiaki. Burek Andrzeja zamiatał ogonem drogę, strzygł uszami, a ślepia mu się iskrzyły. Przeskakując z jednej łapy na drugą czekał niecierpliwie na pierwszy trzask bicia, a wtedy stadko wesoło ruszało ku górom. Tak dobrze Marcinek z Burkiem opiekowali się bydłem, że kiedy stary Andrzej w rok później umarł, gromada obrała sobie chłopca za pasterza.

Przyrzekli mu jako płacę dwie sukmany, trzy pary spodni, treпки i koszulę. Żywność miały mu kolejno dostarczać gospodynie, tak jak staremu Andrzejowi; każdego dnia inna.

Za wsią przy cmentarzu stała stara chata; zapisał ją niegdyś gromadzie pewien stary kawaler. Jedna jej połowa dawno się już zapadła, druga zaś, obejmująca izbę i komorę, stała jeszcze pod strzechą, opierając się jed-

nym bokiem o wzgórzu. W tej chacie, która przez szesnaście lat służyła Andrzejowi za mieszkanie, miał teraz zamieszkać Marcinek. Stary Andrzej zatkał okna chatki słomą, aby przez nie słońce nie świeciło, a zimą, aby wiatr nie dął i tak już pozostawało przez lata. Bo cóż było Andrzejowi po słońcu? W zimie nigdy w domu nie siedział; chadzał po chatach, od sąsiada do sąsiada, zaś w lecie, gdy przyszedł wieczorem zmęczony, od razu zasypiał.

Nie umiem wam powiedzieć, jakiego uczucia doznał Marcinek, gdy po raz pierwszy do tej chaty wszedł i pomyślał, że odtąd już tu musi przebywać!

Ściany w chacie były poobijane, pełne pajęczyny. Podłoga wyglądała jak śmietnisko z kilkuletniej słomy i kurzu. Pięknie było u wójta w stajni. Marcinek chwycił się za głowę i tak stał przez chwilę. Potem usiadł na śmieciach i zapłakał. Po raz pierwszy w życiu uczuł, że nikogo nie ma na świecie i że jest opuszczony jak ta chata. Lecz gdy tak płakał, usłyszał pad strzechą świergot ptaka. Popatrzył w górę, a tu jaskółcze gniazdo. Ptaszki przyleciały z daleka i czyściły swój domek, żeby w nim mogły przez lato mieszkać, dopóki nie polecą znowu daleko, daleko...

Marcinek poweselał. Przecież i ja nie muszę swego gniazda zostawić takim brzydkim – rzekł do siebie. I nie zostawił. Najpierw wyciągnął słomę z okien. Starym skrzydłem, które znalazł w kącie, omiótł okna; każde miało po jednej tylko szybie, inne były powybijane. Potem zaczął zmiatać pajęczynę ze ścian i powały, lecz omal się przy tym nie udusił. Następnie każdego dnia powróciwszy z pola dalej porządkował swoje mieszkanie. Rozrobił glinę, jak to widywał u swojej gospodyni nieboszczki, nawet żółtego piasku przyniósł – dobrze pamiętał, gdzie dawniej po niego chodził – i pozalepiał wszystkie dziury w ścianach i podłodze. Przechodząc raz grabarzowa zobaczyła jak się chłopiec mozoli; uśmiechnęła się, pochwaliła go, że lubi czystość i – odeszła.

Ale gdy Marcinek wrócił następnego dnia z pola, zastał izbę i komórkę wylepioną gliną, ściany wykropione na biało i modro, a podłogę czysto wytartą i posypaną piaskiem – aż miło było patrzeć. Nie wiedział biedak, czy ma się śmiać, czy płakać? Grabarzowa pochwaliła się swoim uczynkiem przed gajową. Spodobało się to kobietom. Wylepiły chatę i z zewnątrz oraz kazały ją obić szerokimi deskami. Chłopi nie chcieli się dać zawstydzić, poszyli strzechę słomą. Gromada ofiarowała nowe okna, z których każde kosztowało koronę. Grabarz, który gdy nie pił, strugał różne rzeczy z drewna – naprawił stary stół, ławę i starsze jeszcze łóżko, do którego wójt darował świeżej słomy.

– Marcinku, teraz to możesz nawet ożenić się – śmiali się chłopci.

Marcinkowi w domu wydawało się jak w raju, ale choć starał się, żeby tak mogło być zawsze, to jednak chętniej bywał w górach. O! Bo też tam było pięknie! Siadał chłopiec na szarej skale i z niej, jak król swoje państwo, spojrzeniem obejmował swoje stado.

Z lewej strony biegły wysoko lasy świerkowe, bukowe i dębowe. Gdy wiatr z tej strony zawiał, przynosił zawsze słodką woń leśną, a podczas ciszy bory te niekiedy brzmiały jak muzyka. Szemrząc i nucąc ocierało się drzewo o drzewo, gałąź o gałąź, liść o liść. A w jesieni! Gdy liście opadały, szumiące jodły zdawały się nucić głuchą pieśń pogrzebową. Pod samą skałą, jak zielony jedwab kwiatami wyszyty, rozpościerały się pastwiska, a wśród nich, jak srebrna wstęga, toczył się strumyk. Po prawej stronie widniały hale porośnięte krzewami, z których jedne kwitły na wiosnę, inne tylko się zieleniły. W lecie zaś i na jesieni czeremcha i brusznice uśmiechały się i odurzały zapachem. Marcinek znał w górach każdą roślinę, dobrą i złą. Stary Andrzej nauczył go je rozpoznawać.

Gdy słońce skąpało w złotym blasku góry i hale, zapatrzył się chłopiec nieraz na ten świat. Co za piękno!

Jeżeli stado pasło się spokojnie, Marcinek wyplatał coś z wikliny, której było tam pod dostatkiem. Rozpoczął od mioteł, poszczęściło mu się, potem zrobił i koszyk do sera; aż wreszcie zrobił ładną klatkę dla kur. Każdego dnia przynosił coś ze sobą do wsi. Kupowały to od niego gospodynie i tak sobie chłopiec oszczędzał. Może się to kiedyś przydać – myślał sobie – bo teraz sam muszę się starać o siebie.

Nieraz, gdy siedząc wyplatał, rozmyślał sobie: czy to, co widać na tym świecie, zawsze było? A jeżeli nie, któż to wszystko uczynił? Kto rozkazał słońcu, aby rano wschodziło, a wieczorem zachodziło? Czy może ten Bóg, o którym wójt wspominał, kiedy się zaklinał; a niewiasty wymieniały to imię, gdy we wsi ktoś umarł, powiadając: Dobry Pan Bóg, że wziął do siebie! Gdzie jest ten Bóg? I dokąd On tych ludzi bierze? Czy On i moją matkę tam zabrał? Jeżeli On to wszystko uczynił, co oczy widzą, to jest naprawdę mądry i dobry. Jakże mądrze wszystko to jest urządzone! Jedne zioła rosną na pokarm, inne znowu na lekarstwo; te, które lubią cień, zasiał Bóg pod krzakami, inne zaś w miejscach słonecznych. Albo też i to – po deszczu wszystko w górach ożywa, ale że nadmiar deszczu szkodzi, więc znowu słońce świeci i wiatr wieje. Jeżeli to rzeczywiście On tak wszystko doskonale urządził, to jest to naprawdę jakiś wielki i mądry Pan.

A czy tam, gdzie On zmarłych zabiera, jest też ziemia tak piękna jak tutaj!

Kiedy wójtowa umierała, dali jej do ręki pieniądz – to „na przewóz” – mówili. Czy między naszą a tamtą ziemią jest wielka woda? Któż ludzi przez nią na tamtą stronę przeprawia? Po pogrzebie wójtowej przez cały tydzień w domu nie pracowano, żeby dusza zmarłej miała spokój. Po tygodniu napiekli chleba, bo ma być dobrze, kiedy się woń „chlebeczka” po domu rozejdzie; „wtedy dusza będzie spokojna”.

Z jakiego powodu nie mają tam dusze spokoju? Czy u Boga nie jest tak pięknie, jak tu? Ach, dlaczego ludzie muszą umierać?!

Takie myśli snuły się chłopcu po głowie. Pragnął się o tych rzeczach dowiedzieć, lecz nie miał nikogo, by się mógł zapytać. Był już cały rok samodzielny pasterzem. Rozpoczęła się wiosna. I wtedy wójt nagle zmarł. Marcinek dzień w dzień o nim myślał: dokąd wójt odszedł? Czy ujrzał Boga? Jak Bóg wygląda?

Pewnego razu siedząc na skale i plotąc koszyk zapatrzył się w niebo i westchnął – Boże mój, ja nic o Tobie nie wiem! Ale jeżeli Ty jesteś w stanie wszystko zrobić, spraw, żebym się czegoś o Tobie dowiedział, a także o tej ziemi, do której zabierasz zmarłych! Czy tam wszyscy są razem, źli i dobrzy?

Marcinek wierzył, że Bóg go usłyszał; spokojnie plótł dalej koszyk. Naraż doszło do niego żalosne beczenie. Zeskoczył w dół i popędził z Burkiem: to najmniejsza owieczka, biała z czarnymi plamami, spadła w jamę między zarośla.

– Oj, biedna! – pomyślał – jakże cię teraz wyciągnę spomiędzy tych dużych kamieni? Z wielkim trudem spuścił się Marcinek w zagłębienie i wdrapał ponownie z owieczką na górę. Uczuł nagle niezwykłą radość z tego powodu! Niósł owieczkę na ramieniu, głaskał ją i przemawiał do niej, aż ją odniósł do stada.

Zwierzátko podskoczyło wesoło i zaczęło skubać trawę. W południe zapędziwszy bydło do wody, chłopiec spotkał kobiety zbierające grzyby i opowiedział im swój wypadek.

– Marcinku – rzekła mu stara Hudowa – to było właśnie tak, jak pi-sze w Piśmie Świętym o tym pasterzu, który miał sto owiec, a straciwszy jedną z nich zostawił dziewięćdziesiąt dziewięć na pustkowiu i poszedł szukać tej zgubionej.

– I znalazł ją?

– Znalazł. Wziął ją na ramiona i zaniósł do domu i tak się z tego radował, że aż sąsiadów zawołał, aby się z nim cieszyli. Podobalo się to Marcinkowi.

– A któż był owym pasterzem i gdzie to się stało?

– Tego nie wiem, to Chrystus Pan opowiedział o tym zdarzeniu swoim uczniom.

– A kto to był ten Chrystus Pan?

– Ależ Marcinku – zaśmiały się inne kobiety – jaki z ciebie głuptas!

– Nie śmieście się z niego – broniła go Hudowa – biedak nie miał nikogo, kto by mu to opowiedział; a do szkoły przecież nie chodził! Jezus Chrystus, Marcinku, to Syn Boży. Lecz chodźmy już dalej! I kobiety odeszły. Chłopiec nie zraził się tym, że kobiety śmiały się z niego, był rad, że dowiedział się czegoś o Bogu i że ten Bóg ma Syna, którego nazywają Jezus Chrystus. „Jezus” – bardziej podobało się Marcinkowi. Ten Jezus też pewnie był pasterzem; prawdopodobnie to on miał sto owiec. Jeżeli więc tam, gdzie mieszka, są pastwiska, to będą i góry? O, to tam musi być pięknie! Idąc drogą ku domowi, spoglądał Marcinek chwilami ku niebu. Pewnie i tam teraz wracają do wsi i ten Boży Syn, Jezus, tak samo. A kiedy On tylko o owcach wspomina, to pewno same tylko owieczki pasa. – Ale czy On mnie też widzi? Chętnie bym umarł, gdybym wiedział, że mnie sobie weźmie na pomocnika. Przynajmniej zobaczyłbym szybciej jak tam jest.

Na drugi dzień przebudził się Marcinek niezwykle wesół. Umył się, uczesał i ubrał porządniej niż zwykle, a gdy mu na samym ostatku grabarzową „Białuchę” z obory wypędzono, zagadnął nagle żonę grabarza:

– Cioteczko, proszę was bardzo, powiedzcie mi, czy Bóg widzi wszystko, co my czynimy?

Gospodyni się zawstydzila, bo właśnie pokłóciła się z mężem, który ją uderzył.

– Tak synku, widzi, a gdy będziesz źle czynił, to cię ukarze! – mruknięła zagniewana.

– Ja nie będę źle czynił, cioteczko! – obiecywał chłopiec.

– Idź z Bogiem!

– A cioteczko – obrócił się Marcinek jeszcze raz – czy widzi nas i Jego Syn?

– Jaki Syn?

– Jezus!

– Chrystus Pan?... Rozumie się! Ale idź już. Marcinek poszedł; lecz przez całą drogę zdawało mu się, że Syn Boży tam w górze kroczy jednocześnie z nim.

Od tego dnia nie odważył się więcej złorzeczyć bydłu, jak to dotąd czynił, bo jeżeli go Jezus widzi, może go i słyszy?

Tak przeszedł Marcinkowi cały tydzień w szczęściu i zadowoleniu. W sobotę, gdy wieczorem ze stadem wracał, dzwoniło właśnie „na nie-

dzielię". Dźwięk wielkiego dzwonu uroczyście płynął doliną. Będzie niedziela – pomyślał Marcinek – „wydzwanianą”; jutro pójdą ludzie do kościoła – lecz co oni robią tam, w kościele? Gdy wójtowa umarła, Marcinek siedział w przedsionku kościoła, gdzie siadali żebracy. Słyszał, że wewnątrz grali, śpiewali, i że ksiądz ludziom coś opowiadał, ale tego w przedsionku nie można było zrozumieć. Raz w zimie chciał i on pójść do kościoła (w lecie bowiem nigdy nie mógł odejść od gęsi), ale wtedy mu gospodyni powiedziała: Co byś ty tam robił? Czytać nie umiesz i ubrać się nie masz w co; nie trzeba, aby tacy ludzie w kościele zawadzali.

Co też ci ludzie tam robią? Czy tam z Bogiem rozmawiają lub czy im tam o Nim i o Jezusie opowiadają? Zapewne tak. A mnie tam pójść nie wolno? Nie chciało się tego dnia Marcinkowi wieszczyć; na próżno też Burek tulił się do niego.

Zrobiło mu się tak smutno, że najchętniej byłby uciekł z powrotem w góry, a jeszcze chętniej powędrował za matką. Toteż poszedł jej szukać na cmentarzu. Nieraz już nosił kwiaty na jej grób, nieraz tam długo siedział i myślał, dokąd jego matka odeszła i czy jej się dobrze wiedzie? Dziś nie przyniósł kwiatów, za to skropił grób gorzkimi łzami.

– Matko moja droga, czy was też tam u Boga, tak jak mnie tutaj, nie wpuszczają do kościoła dlatego, żeście byli bez domu? Ach, mateczko moja biedna!

Niedaleko grabarz kopał grób. Usłyszał zawodzącego chłopca, poznał go, odłożył łopatę i podszedł do niego.

Czego płaczesz Marcinku, co ci jest? Chłopiec wyjawiał swój żal, ale go grabarz nie zrozumiał; bo choć sam prawie każdej niedzieli do kościoła chodził i wiele o Bogu i Synu Bożym wiedział, nigdy jednak o Nich nie myślał.

– Nie płacz, rzekł, niedobrze to, że cię niczego nie nauczyli; ale to, co mówisz, też nie jest prawdą; jesteś przecież naszym pasterzem gromadzkim, a nie jakimś przybłądą. Śmiało możesz pójść do kościoła między parobków i nikt cię nie wypędzi.

– Ale, wujaszku, kiedy nie mam się w co ubrać!

– W lecie to i tak do kościoła iść nie możesz, bo musisz paść. Ale na jesień gromada sprawi ci nowe ubranie, to będziesz mógł chodzić, choćby i każdej niedzieli!

– A co tam robią wujaszku? Nauczcie mnie tego, bardzo proszę, co wy tam robicie?

– Śpiewamy, chłopcze! Ty tego nie będziesz mógł robić, bo czytać nie umiesz, ale możesz posłuchać, co ksiądz przed ołtarzem mówi, możesz się z nim modlić i wysłuchać kazania.

– A co to jest kazanie – pyta Marcinek?
– Jakiś ty głupi! W kazaniu uczą nas, co mamy robić!
– A ja myślałem, że wam mówią o Bogu?
– Ale daj mi spokój, chłopcze, bo kiedy ja ten grób wykopię?
– Wujaszku mój, ja wam pomogę; tylko mi jeszcze powiedzcie, jak to Go do krzyża przybili?

– Połóż się na ziemię, to ci pokażę! Tak. A teraz wyciągnij ręce – ile tylko możesz! Widzisz przez te ręce przeszły duże gwoździe i przybili Go do krzyża i tak przybity wisiał, aż umarł.

Marcinek się zerwał.

– Ale przecież to Go bolało? Dlaczego Go tak męczyli? Co On zawinił?

– Nigdy nic złego nie uczynił, nigdy złego słowa nie wyrzekł, zawsze tylko dobrze czynił. Z daleka schodzili się do niego i chorych znosili, których on uzdrawiał. Przy tym uczył ludzi, jak mają żyć i jak mają być oddanymi Bogu. Zabili Go, bo nie mogli znieść, że im prawdę mówił.

– Ach, jakże byli źli?

– Bardzo źli. Jak pasterz On wśród nich chodził. Tak jak ty swoje stado pasiesz na bujnej trawie, tak On tych ludzi karmił Słowem Bożym, a oni Go zabili.

Grabarz nie chciał już dalej mówić o Chrystusie. Coś mu serce ścisnęło; doznał właśnie takiego uczucia, jak ktoś, kto zupełnie zapomniał o dobrym przyjacielu, który tyle dla niego zrobił, a teraz mu ktoś przypominał o jego wielkiej niewdzięczności. Grabarz znał dobrze Pismo Święte; niegdyś je całe przeczytał, dostał je w spuściźnie; i do szkoły chodził i uczył się historii biblijnej; uczęszczał też do kościoła i wszystko wiedział, co chrześcijanin o Panu Jezusie wiedzieć powinien, ale nigdy nad Jego nauką się nie zastanawiał. Zapomniał..., a teraz mu Marcinek wszystko nagle przypomniał.

Wykopawszy grób poszedł każdy w swoją stronę.

Tej nocy Marcinek nie spał. Nie mógł oka zmrużyć. Przecież nareszcie dowiedział się czegoś o Jezusie!

Tak sobie myślał... Jeśli On był Synem Bożym, to wprost od Boga przyszedł, a było pewnie wielu takich ludzi, jak ja, co nic nie wiedzieli o Bogu ani o tej innej ziemi, tym więc wszystko opowiedział. Będąc takim słynnym lekarzem, On to zapewne nauczył ludzi poznawać korzonki i zioła. Wszak doskonale wiedział, przeciwko jakiej chorobie stworzył Jego Ojciec każdą roślinę; a gdy Jezusa już nie było, wiedzieli przynajmniej ludzie, czym się w chorobach leczyć. Ach, że Go zabili, że też Go zabili i to tak okrutnie! Lecz tych złoczyńców pewnie Bóg ukarał. Jego zaś wziął do siebie.

I On tam teraz tych ludzi, których Bóg bierze do siebie, uczy, jak się mają sprawować, bo tam bez wątpienia są inne obyczaje. Może tak ich wodzi jak pasterz stado. Przecież jest pasterzem, a gdy nie pasie owiec, lecz ludzi, to by mnie może przyjął za pasterza do owiec. Gdy umrę – On będąc dla ludzi tak dobry, pozwoliłby mi pójść czasem w góry popatrzeć, co tu robią?

Po krótkiej drzemce przyszła mu nowa myśl – jeżeli Bóg wszystkich zmartwychwstałych do siebie zabiera, wtedy są tam i ci, którzy Jezusa zabili? – Chłopiec aż zerwał się z pościeli. Ja bym ich tam nie ścierpiał. Wstrząsnął głową; Nie, ich tam nie ma. Ale gdzie oni są? O, gdyby mi ktoś umiał jeszcze to powiedzieć? W chwilę potem rozległ się dzwon poranny i Marcinek musiał wstać i pójść do trzody.

– Inni pójda do kościoła i usłyszą o Bogu, o Jezusie, a ja muszę iść w góry. Znów niczego się nie dowiem, czemu tylko ja jeden na świecie żyję bez Boga?

Zobaczyły gospodynie, że Marcinek jest zapłakany i smutny. Pytały go, co mu dolega, ale on nic nie powiedział; i tak żadna by mu nie pomogła!

Dziś nie pędził bydła aż pod las, pasł niżej wzdłuż potoku, tam którą się szło do Brzezówki. Ledwo zjadł swój kawałek chleba, a resztę podzielił między Burka a ulubioną owieczkę Beruškę, gdy zobaczył jakiegoś podróżnego, który szedł drogą. Był on jeszcze młody, bez wąsów, ubrany z pańska, u boku miał torebkę, a w ręku parasol.

– Dzień dobry, pastuszkule – zawołał z daleka – czy dojdę tą drogą do Raszowa?

Marcinek zdjął z głowy kapelusz i odpowiedział: Dojdziecie, panie! Tylko trzymajcie się wierzb i potoku, bo trochę niżej rozchodzi się droga w trzech kierunkach!

Uśmiechnął się obcy, spodobał mu się pastuszek z piękną, opaloną od słońca twarzą i czarnymi oczami.

– Czy ci tu nie smutno samemu? – zapytał chłopca podróżny.

– O nie! Tylko czasem w niedzielę, gdy inni idą do kościoła, a ja muszę paść!

– Nie smuć się z tego powodu, jest dużo takich ludzi, którzy nie pasą, a do kościoła też nie chodzą.

– A wy gdzie idziecie?

– Do Raszowa! A potem muszę iść dalej w świat.

A czemu tak chodzicie?

– Widzisz, ja się uczę w szkołach, a tam potrzebujemy dużo pieniędzy, musimy więc chodzić i zbierać je u dobrych ludzi.

– Biedni! I czegoż się w tych szkołach uczycie?

Nieznajomy roześmiał się, a głos jego zabrzmiał jak dzwon, aż się góry odezwały.

– Czego się uczymy, tego ci opowiedzieć nie mogę, ale ci powiem, kim potem będziemy, gdy się wyuczymy!

– Czym będziecie?

– Jedni doktorami, drudzy adwokatami, jedni księżmi, inni nauczycielami czy rejentami.

– A wy kim będziecie?

– Ja księdzem.

– Ach, uradował się Marcinek, pewnie żebyście innych uczyć mogli? Opowiadają wam o Bogu i o Chrystusie; wy chyba już wszystko o Nim wiecie?

Obcy znów się roześmiał.

– O, wiem już niemało i mógłbym nawet kazanie powiedzieć. Dziś po popołudniu prawdopodobnie będę zastępował waszego księdza.

– Proszę was pięknie, ja jeszcze nigdy nie słyszałem kazania; powiedzcie mi kazanie, do śmierci będę wam za to wdzięczny.

– Tobie? No, dobrze! Lecz najpierw powiedz mi, co już wiesz o Chrystusie Panu.

Chłopiec opowiedział, co słyszał od kobiet i od grabarza. Nieznajomy zdumiał się.

– Ależ chłopcze, to ty bez Boga i bez Chrystusa żyjesz na świecie. Jak ja mam ci powiedzieć kazanie, kiedy tak mało wiesz?

Marcinek musiał pobiec do krów: „Kwiatulę” trzeba było odpędzić na bok, bo bodła inne. Gdy wrócił, nieznajomy siedział na skale, w ręku trzymał książkę i czytał. Marcinek usiadł u jego nóg i czekał z upragnieniem.

– Już wróciłeś? – odezwał się obcy – patrz! Książka ma napis: Nowy Testament Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Jest w niej napisane o tym, co Chrystus czynił i uczył, jak się urodził i jak umarł, jak wstąpił do nieba i jak obiecał, że znowu przyjdzie.

– A jest tam i o owej ziemi, do której Bóg ludzi po śmierci bierze?

– Jest i o niej.

– Czy są tam u Niego razem wszyscy: źli i dobrzy?

– Ale gdzie tam! Pamiętaj, dobrzy są u Niego, tam w górze, źli zaś na dole, w piekle. Kto się tam dostanie, już więcej stamtąd nie wyjdzie. Wszyscy ludzie są źli i Bóg rozgniewał się na wszystkich, i skazał ich na pójście do piekła. Dlatego to przyszedł Chrystus, Syn Boży, i umarł za wszystkich na krzyżu, i w ten sposób uchronił ludzi od piekła. Bóg nie

chciał, żeby ludzie szli do piekła. On chciał ich mieć u siebie w niebie. Ponieważ „tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie umarł, ale miał żywot wieczny”. I ciebie Bóg tak umiłował, żebyś nie musiał po śmierci cierpieć. Jedyne Syn Boży za ciebie został umęczony na krzyżu. Jeżeli będziesz wierzył, to – gdy umrzesz – pójdziesz do Niego.

– Proszę was, nauczcie mnie tych słów – prosił chłopiec.

Po chwili umiał całe zdanie na pamięć. Poprosił jeszcze: – Przeczytajcie mi, jak to Jezus za mnie umarł!

Nieznajomy czytał i czytał. W ciszy porannej wszystko brzmiało i dla niego jak coś nowego. Więc czytał, jak Pan Jezus w Ogrójcu smucił się i drżał, nim Go przyszli pojmać, jak Judasz Go im wydał i jak związanego wiedli. Czytał, jak wszyscy uczniowie Go opuścili i uciekli. I jak Go źli i fałszywi kapłani osądzili na śmierć, bili, policzkowali i pluli na Niego. Potem zawiedli Go do Pilata, a od Pilata do Heroda; i Herod z Niego szydził, a Pilat – choć uznał, że jest niewinny – ubiczował Go i skazał na śmierć krzyżową. Żołnierze na pośmiewisko płaszcz szkarłatny na Niego włożyli i koronę cierniową wcisnęli Mu na głowę, aż Mu krew spływała po twarzy. Zmienił się w cierpieniu nie do poznania. Gdy Go już potem na Golgotę wiedli, On sam na zranionych plecach wielki krzyż dźwigał i ze słabości wielkiej i ogromnej boleści upadł pod jego ciężarem. Wtedy kazali nieść ten krzyż Szymonowi Cyrenejczykowi, którego po drodze spotkali. Na Golgocie przybili Go do krzyża i wisiał tam między niebem i ziemią. Ziemia wyrzekła się Go, a niebo zawarło się przed Nim. Słońce skwarem piekło Jego rany, krew ściekała w dół po krzyżu, a gdy w wielkiej gorączce zawołał „pragnę”, podali mu octu i żółci zamiast wody. Trzy godziny wisiał w takich męczarniach. Modlił się za tych, co Go do krzyża przybili. Matkę mdlejącą pod krzyżem pocieszał. Przebaczył łotrowi, który wisząc na krzyżu uwierzył w Niego i przyjął go do swojej chwały. A gdy już konał, ci, co chodzili koło krzyża, jeszcze z Niego szydzili. Potem zawołał: „Boże mój, Boże mój! Czemuś mnie opuścił!” Wreszcie oddawszy Ojcu ducha, schylił głowę i skonał. Dalej czytał nieznajomy o tym, jak przy śmierci Jezusa ziemia zadrżała, a słońce się zaćmiło, skały pękały, groby się otwierały; jak dwaj bogaci mężowie, Józef z Arymatei i Nikodem, pogrzebali Syna Bożego, jak przed Jego grób zatoczyli wielki kamień, który potem wrogowie jego opieczętowali, aby zmarły nie powstał i im nie uszedł.

Nieznajomy musiał przestać czytać, bo Marcinek rzucił się na ziemię i płakał. Omal mu serce nie pękło na myśl, że Syn Boży tak za niego cierpiał i umarł, aby go uchronić od piekła. A nieznajomy, widząc płaczącego

chłopca, położył książkę na kolanach, schylił głowę i gdyby się nie wstydział, byłby również zapłakał. Przecież wiedział o wszystkim już od dawna, ale o tym nie myślał. Byłby zapłakał nad swoimi grzechami, które Syna Bożego sprowadziły do grobu!

Żeby Marcinka pocieszyć, zaczął czytać dalej. Kto by mógł przypuszczać, że Marcinek dziś dowie się nareszcie wszystkiego o Jezusie!

Po odejściu młodego kaznodziei Marcinek zasnął. Śniło mu się, że widzi Jezusa umierającego na krzyżu, chylącego Swoją głowę ku niemu i mówiącego: „Marcinku, za ciebie umieram!” Potem śniło mu się, że był z Marią nad pustym grobem, a żywy Jezus stał obok nich, później zaś, że widzi Jezusa idącego z uczniami gościńcem. Gdy po chwili wszyscy stanęli, Jezus żegna ich i idzie Sam, wznosi się wyżej i wyżej, jak gdyby Go słońce podnosiło na rękach, aż zakrył Go obłok. Marcinek widzi, jak przez ten obłok Bóg Ojciec otwiera bramę i wita swojego Syna – wszystko Mu daje, czego sobie tylko życzy.

Ocknąwszy się chłopiec nie mógł uwierzyć, że to był tylko sen. Z tego, co czytał nieznanomy, zapamiętał trzy rzeczy:

„Tak Bóg umiłował świat” – „Oto Jam jest z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata” i „Jezus znowu przyjdzie”.

To ostatnie zdanie najbardziej go cieszyło. Od tego dnia miał jedno życzenie – pragnął nauczyć się czytać. Nieznanomy powiedział mu – gdybyś umiał czytać, dałbym ci tę książkę! Była mała, ale gruba i było w niej wszystko o Synu Bożym. A to, co usłyszał, zmieściło się zaledwie na kilku kartkach.

– Żebym to ja miał taką książkę i umiał ją czytać?

Niestety był już za duży, aby pójść do szkoły w zimie, a czytanie to musi być rzecz bardzo trudna? Wtem pomyślał: jeżeli mnie Pan Jezus (nie śmiał Go już tak po prostu nazywać Jezusem) zawsze słyszy, więc poproszę Go – On mi pomoże!

Ukląkł, złożył ręce i patrząc tam, dokąd Jezus odszedł, prosił: – Panie Jezu, ja jestem takim głupim chłopcem – Ty wiesz dobrze, że nie nauczyli mnie nawet czytać. Do szkoły by mnie już też pewnie nie przyjęli, bo jestem za duży; proszę Cię więc bardzo, przyślij mi jakiegoś dobrego człowieka, który by mnie nauczył czytać, żebym się mógł wszystkiego o Tobie dowiedzieć.

Ufał Marcinek, że go Syn Boży usłyszał i że go pewnie wysłucha; a o tym, jakim sposobem się to stanie, nie myślał. Wierzył tylko i był szczęśliwy. – Ja też będę jeszcze kiedyś czytał Nowy Testament Pana naszego Jezusa Chrystusa; na pewno będę!



W czwartek wieczorem, powróciwszy z pola, przyniósł dla jednej z gospodyń kosz dla kur. Były u niej właśnie zebrane sąsiadki i opowiadały sobie, że dziś Brezanową Annę pochowano, i że jej Józko będzie musiał iść po prośbie, jeżeli go któraś gospodyni nie weźmie do gęsi. Marcinek znał tego chłopca i jego matkę. Była to kobieta uczciwa, a mieszkała we wsi na komornym. Wyszła przed 10 laty za jakiegoś murarza z Pesztu, a gdy się jej mąż przy pracy zabił, wróciła do wsi z małym Józkiem i chodziła do gospodarzy pracować. Choć z trudem zarabiała tylko na wyżywienie, chłopca już od piątego roku posyłała do szkoły. Marcinkowi zrobiło się żal sieroty. – Jest on w takim położeniu jak i ja.

Skoro matki zabrakło, każą mu zebrać, albo wezmą do gęsi. Jeżeli się czegoś w szkole nauczył, to teraz zapomni, a gdy podrośnie, nie będzie nic umiał, tak jak ja. Marcinek codziennie wiele o Józku rozmyślał i bardzo go żałował. W sobotę wieczór ubrał się Marcinek odświętnie i poszedł do wójta. Wójtowa stała na podwórzu.

– Co to, idziesz dać na zapowiedzi, Marcinku? Cóż się tak wystroił?

– Idę do was! Czy gospodarz w domu?

– Cóż masz do niego? – Jerzy, chodź no tu, Marcinek przyszedł ze skargą.

– A czego? – Odezwał się wójt z kuchni. Nieboszczyk wójt był chudy, ten zaś wyglądał jak beczka. Zawołali Marcinka do kuchni.

– No, co nam dobrego przyniosłeś? Witaj i siadaj!

– Dziękuję bardzo! Mogę i postać chwilkę!

– Przyszedłeś skarżyć się na gospodynię, że cię dobrze nie żywią? Albo może ci się chata wali? Może straciłeś krowę? Wójt żartował, a Marcinek rumienił się aż po uszy. On – i skarżyć się? Marcinek miałby skarżyć się na gospodynię? Prawda, że niektóre zamiast polewki dawały mu wodę, a chleba tak cieniutką kromkę, że dokładnie przez nią mógł widzieć wieżę na kościele; ale do śmierci nie byłby się na nie skarżył. Wszak inne były za to miłosierniejsze i dawały mu tyle, że sobie mógł coś odłożyć na drugi dzień.

– Skarżyć się nie przyszedłem – powiedział skromnie. – Mam dzięki Bogu co jeść.

– Cóż więc?

– Przyszedłem się dowiedzieć, co gromada uczyni z Brezanowym Józkiem?

– Patrzcie, o kogo on się troszczy! – zawołał wójt zdziwiony. – Damy go tobie, śmiał się; odwdzięczysz się gromadzie za to, że ciebie przyjęła! Marcinkowi jakby mak polny na policzkach zakwitł.

– Czy tak, gospodarzu? Właśnie o to przyszedłem prosić. Doprawdy

macie słuszość, że powinienem się gromadzie odwdzięczyć. Bardzo was proszę, nie posyłajcie go po prośbie ani na służbę do gęsi – dajcie go mnie!

– Ale chłopcze, ja przecie tylko żartuję, a ty to bierzesz poważnie. Mój kochany gospodarzu, a czymże go będziesz żywił, hę?

Przyszła na to wójtowa i usłyszawszy, o czym rozmawiali, rozgniewała się.

– Głupi chłopak! Myśli, że zamiast jednego będziemy dwóch żywić. Myślisz, że ci parobka będziemy trzymać; jaki mi wielki pan?

– Nie! Nie myślę tak, pani gospodyni – bronił się chłopiec. – Mam już kilka groszy oszczędzonych za miotły, a jeszcze sobie więcej zarobię. Przecież Bóg, który ludziom i zwierzętom wszystko daje, nas też nie opuści i nam da.

Daremnie mu wójt z żoną tłumaczyli i przepowiadali: nabawicie się biedy! Zginiecie z głodu! Wszystko na próżno, Marcinek nie wierzył, tylko prosił. Wreszcie wójt go wypędził i poszedł spać.

Rozzłościły się prawie wszystkie gospodynie we wsi. Wszystkie pogniewały się na niego. Zmówiły się, że będą mu dawały mniejsze kawałki chleba, kiedy taki się zrobił hardy. Ale gdy chłopiec dzień w dzień chodził do wójta i prosić nie przestawał, dali mu w końcu Jóźka.

O, jakież to był dla Marcinka dzień! Jeszcze nigdy w życiu takiego nie miał. By przewieźć skromny dobytek Jóźka, pożyczył sobie od grabarza taczek. To, co chłopcu po matce pozostało (skrzynia pełna szmat, wielka kołdra, ławka, stół i stolek z wikliny), gromada sprzedała, a pieniędzmi pokryła koszt pogrzebu. Zostało jeszcze Jóźkowi dziesięć reńskich, które oddano na procent. – Przyda mu się, jakby kiedyś poszedł do rzemiosła – mówili gospodarze. Zbiegły się kobiety do chaty Hudcowej, gdy się Marcinek zjawił z taczkami przed domem. Parsknęły niektóre śmiechem, ale były i takie, którym łzy w oczach stanęły: – Biedacy, ubogi z ubogim – teraz obaj są równi! Włożyły niewiasty na taczki maleńką skrzynkę Jóźka z jego ubraniem, związały w węzelek małą kołderkę, dwie poduszki, włożyły jeszcze kilka szmat i trochę żywności, ziemniaków, marchwi i cebuli – pozostałości po nieboszczce. Chłopcy chwycili taczki i rażno ruszyli przez wieś pod górę.

– Dobrze słuchaj tego tatusia, wołały wesoło młode kobiety za Jóźkiem! Chłopcy nie przemówili do siebie ani słowa; dopiero gdy stanęli przed chatą, spojrzali jeden na drugiego. Wybuchnął Jóźko płaczem, a Marcin zapłakał z nim razem.

– Nie płacz, Józieczku! – pocieszał go Marcin przez łzy. – Ja też jestem sierotą jak ty, ale odkąd wiem, że mnie Bóg tak bardzo umiłował, że

za mnie Syna Swojego dał przybić do krzyża i że mnie Pan Jezus zawsze widzi, nie jest mi już smutno na świecie. I ty się nie bój, dobrze nam będzie razem; tylko się kochajmy!

Józko przestał płakać. Ściągnęli skrzynkę z taczek i wnieśli wszystko do chaty. Taczki zawieźli z powrotem do grabarza. Grabarz ukroił im tak, żeby żona nie widziała, spory kawał chleba, a grabarzowa podała im potajemnie tak, aby mąż nie spostrzegł, kęs sera. Nim do domu doszli, najedli się w drodze do syta. Po powrocie do chaty Marcinek rozłożył pościel – Nigdy jeszcze nie spał na poduszkach i pod kołdrą. Leżał zawsze na słomie przykryty starym płaszczem. Teraz sobie usłali przyzwoite pościelanie. Józko otworzył skrzynkę; zostawiły mu kobiety nieco matczynych rzeczy – płachtę i obrus; płachtą przykryli pościel, obrusem nakryli stół.

– Tu sobie położmy książki – rzekł Józko.

Powinny tu leżeć książki, ale ja żadnych nie mam, bo i po co, kiedy ja nie umiem czytać – przyznał się Marcin smutnie. – Dlatego cię wziąłem do siebie – mówił dalej – bo nie chcę, żebyś zapomniał, czego już nauczyłeś się w szkole, ale żebyś do szkoły uczęszczał aż do końca i mógł sam czytać, co w książkach o Bogu jest napisane; jak Syn Boży za nas umarł i że znowu przyjdzie.

– Ale ja już przecież umiem czytać – chwalił się Józko i dziwił się, że taki duży chłopiec jak Marcin tego nie umie.

– Gdy mamusia była tak bardzo chora – rzekł – to czytałem jej, jak Chrystus Pan z grobu powstał. Mamy wiele książek!

Józko sięgnął do skrzynki, wyciągnął z niej węzelek, rozwiązał i zaczął na stole rozkładać: najpierw swój elementarz, potem książkę do czytania, katechizm, historię biblijną, jeszcze całkiem nową, ostatni upominek od mamy, potem wielki śpiewnik Trzanowskiego, „Studzienkę” i starą postyllę po dziadku, a na końcu osobno w ręcznik zawiniętą dużą księgę.

– To jest Pismo Święte, Biblia – objaśnił zdziwionemu Marcinowi.

– A jest w niej o Bogu napisane?

– Wyłącznie o Bogu; zaraz na początku, jak stworzył świat w sześciu dniach, lecz o tym jest i w historii biblijnej, a tam są i obrazki.

Zaczęli chłopcy przeglądać obrazki, a Józko opowiadał o każdym: jak Bóg stworzył świat i człowieka, jak wąż zazdrościł pierwszym ludziom, że w raju żyli, jak namówił Ewę, aby była nieposłuszna i zjadła zakazany owoc.

– Ewa zwiodła Adama i zgrzeszyli oboje; za to wypędził ich Pan Bóg z raju – opowiadał dalej – mieli dwóch synów Kaina i Abła. Kain był zły, Abel zaś dobry; i zabił Kain Abła. Marcinek mógłby słuchać nawet do wieczora.

- I wam to wszystko w szkole opowiadają? - pytał zdumiony.
- Trochę w szkole się tego uczyłem, trochę mi mama opowiadała, a teraz sobie już sam przeczytam.

Zaczął Józko czytać i choć miał dopiero osiem lat, czytał gładko. Marcinkowi oczy zaszczyły łzami; teraz dopiero przekonał się, jaką krzywdę wyrządziła mu gospodyni, że go do szkoły nie posyłała. I on by umiał czytać z tej wielkiej księgi. Ale choć teraz dobrze się stało, że miał już Słowo Boże i miał też kogoś, kto mu mógł czytać. Dotąd Marcin nosił zwykle czapkę na głowie, ale skoro Józko przeczytał słowa „Pismo Święte”, natychmiast zerwał ją z głowy i odtąd siedział w chacie bez czapki. Gospodyni nauczyła go zdejmować czapkę przed ludźmi sędziwymi i przed panami, a przecież nad wszystkich ludzi w świecie większą cześć należało okazywać tej księdze, która od Boga przyszła i o Bogu opowiada. Przez pierwsze cztery dni wspólnego z Józkiem pobytu nie jadł Marcin suto ani chleba ani strawy warzonej - zmówiły się gospodynie i nie dawały pastuszkowi tyle pokarmu, co przedtem. Chłopcy piekli sobie kilka kartofli z odrobiną soli. Marcinek dzielił chleb i jadło na dwie części, mniejszą dla siebie, a większą dla Józka. I tak karmili siebie i Burka. Podczas gdy Marcin doglądał bydło, Józko zbierał maliny. Marcin jednak nigdy ich nie jadł. - Będą dla Józka, gdy wrócimy z pastwiska, pewno będzie głodny.

Gospodynie niewytrwały jednak długo w swojej niechęci do pastuszka. Widząc, jak wesoło chłopcy wracali z pastwiska, każdy z wiązką prętów na plecach, jak uprzejmie jeden na drugiego spoglądali oraz jak rozmawiali ze sobą, przejednały się niewiasty i (z wyjątkiem kilku skąpszych) zaczęły dawać chłopcom więcej chleba, kaszy i polewki.

- Nam przez to wiele nie ubędzie - powiadały. - A niech chłopcy nie cierpią głodu!

- Biedacy! - Tak wszyscy nazywali chłopców, a nikt nie wiedział, że nie było we wsi szczęśliwszych ludzi.

Wesoło budził Marcin rano swego towarzysza. Myli się w potoku, czesali włosy i ubierali się. Józko odmawiał „Ojcze nasz”, Marcin powtarzał za nim po cichu. Zabierali ze sobą elementarz, historię biblijną, swoje noże i sznury do wiązania różg; brał Marcin także pasterską trąbę, Józko puszczał Burka - i dalejże na dół do wsi, a potem ze stadem w góry!

Jak tylko Marcin bydło opatrzył, zjadali chłopcy wraz z Burkiem, co im gospodynie na śniadanie dały. Po posiłku Józko czytał z historii biblijnej jeden ustęp, a potem pokazywał Marcinowi którąś z liter w elementarzu, sam zaś uważał na bydło i ścinał pręty na kosze i miotły. Ledwo wiązkę przygotował, a już Marcin umiał swoje i łączył litery, których się nauczył, w całe słowa. Nieraz dziwił się Józko, jak dobrze to Marcin po-

trafi. Marcin zaś mawiał – Ile ja myślałem nad tym, jak trudno jest nauczyć się czytać, a to taka igraszka! Ale niech Bóg błogosławi tych ludzi, którzy ten elementarz tak ułożyli! Człowiek by sobie tego tak prędko nie zapamiętał, a tu ci narysują igłę przy „i”, cepy przy „c”, ucho przy „u”, oko przy „o”. Nie pojąłby już chyba tylko całkiem głupi; ledwo trzy razy na to spojrzę, a już to umiem. Jest tu nawet wszystko razem, czytanie i pisanie, można się od razu nauczyć i pisać! – Józko miał jeszcze starą, rozbitą tabliczkę i kawałek rysika; brali je więc ze sobą i uczył się Marcin równocześnie i pisać, i czytać.

Siedząc tak cicho nad elementarzem lub nad tabliczką rozważał, jak to będzie w zimie, gdy jeszcze pilniej będzie się mógł uczyć, aż się nauczy i sam sobie potem będzie czytał Pismo Święte. Nieraz Marcinek spoglądał ku niebu i wzdychał: „Więc nie prosiłem cię daremnie, Panie Jezu, żebyś mi zesłał takiego dobrego człowieka, który by mnie nauczył czytać. Posłałeś mi tego mądrego chłopca. Bardzo Ci za to dziękuję.”

Gdy tylko Józko naścinanych prętów przyniósł, a czynił to z zamiłowaniem, czyścili je chłopcy i wiązali w pęki; uczył przy tym Marcin swojego towarzysza poznawać pożyteczne i szkodliwe zioła. – Zapamiętaj sobie – mawiał – które są szkodliwe dla ludzi i bydła; będziesz kiedyś sam pasał, może ci się to przydać.

Raz przybiegł Józko cały zdyszany; znalazł tyle malin, że się od nich wszystko aż czerwieniło i tak długo Marcina prosił, aż mu ten pozwolił wziąć na drugi dzień z domu koszyk, aby nazbierać malin i zanieść do leśniczówki. Pytali się w leśniczówce Józka, u kogo teraz przebywa, bo znali dobrze jego matkę; zapłacili dobrze za maliny i jeszcze chłopcom do koszyka różnych rzeczy nakładli. Oprócz tego umówili się z Józkiem, że by im w każdą środę i sobotę przynosił mięso, obiecując mu za każdą drogę trzy centy. Chłopcy wrócili do domu uszczęśliwieni.

Odtąd nosił Józko do leśniczówki wszystko, co było potrzeba, a Marcin posyłał go za każdym razem na pocztę zapytać, czy nie ma tam czegoś dla pana leśniczego. Słyszał bowiem pewnego razu, jak się skarżyły gospodynie, że za długo na listy od mężów lub synów czekały, a listy nieraz cały tydzień leżały – jeden na poczcie, drugi u listonosza. Pan leśniczy pochwalił chłopców za dobry pomysł. Usłyszały o tym gospodynie sąsiadujące z leśniczówką, wynajęły i one Józka na listonosza. Teraz już nie potrzebował Marcin karmić Józka swoim chlebem, Józko jeszcze nawet niejedno do domu przyniósł na zimę. Jedna gospodyni dała jajko, druga kilka ziemniaków, inna trochę marchwi. A jeszcze tego roku w górach jabłonie i grusze bardzo obficie obrodziły. Pozwolono chłopcom zbierać, ile do domu unieśli, a później dano im i suszonego owocu. Chłopcy

umieli to wszystko cenić i na zimę sobie odkładać, bo Marcin wiedział, że w zimie, gdy niczego na polu nie znajdzie, głód bywa najgorszy.

Nie podobało się Jóźkowi, że Marcin nigdy w niedzielę nie chciał go wziąć w góry. Ale Marcin w niedzielę słyszeć o tym nie chciał i mówił: „Umiesz czytać, wszystko rozumiesz, a do kościoła byś nie poszedł? Idź i uważaj dobrze, abyś mi mógł opowiedzieć, o czym było kazanie!”

Z kazania wprawdzie Jóźko niewiele zapamiętywał, ale powtarzał Marcinowi przynajmniej pieśń, gdy śpiewano jedną z tych, które Jóźko umiał na pamięć. Musiał mu ją wtedy powtarzać dopóty, dopóki Marcin nie umiał jej zaśpiewać.

Wszystkie mu się podobały, ale najbardziej jedna, którą śpiewał zawsze, gdy był sam:

*Gdzieś Ty, mój Jezu, Zbawco kochany?
Któż mi pokaże drogę do Ciebie?
Opromień chaty nasze i łany
I wskaż nam drogę do Ojca w niebie.*

*Szukać Cię będę stale i wiernie,
Pójdę za Tobą skroś głóg i ciernie.
Wszystkie u nóg Twych złożę swe winy,
Twoim się stanę, Jezu jedyny.*

– Ten, co tę pieśń ułożył – myślał Marcin – pewnie tak samo jak ja nic o Tobie, Panie Jezu, nie wiedział.

Wieczorami, gdy chłopcy wracali z pola, zapalali sobie w domu lampkę, którą mieli po matce Jóźka. W każdą sobotę musiał Jóźko kupować do niej w sklepie olej. Czytali zawsze o męce i śmierci Pana Jezusa. Jóźko chciał nieraz czytać co innego, lecz Marcin nie pozwalał.

– W zimie przeczytamy cały Nowy Testament, może i Starego nieco? Teraz musimy to tylko czytać tak długo, aż wszystko będziemy umieli na pamięć, żebyśmy nigdy nie zapomnieli i mieli zawsze w sercu, jak On dla nas cierpiał.

Jóźko długo jeszcze musiał czytywać historię męki Jezusa, zanim mu się w sercu wyryła; bo dużo jest takich dzieci i dorosłych, którzy nigdy o tym nie rozmyślają, co Syn Boży dla nich wycierpiał i uczynił. Tak i Jóźko czytał teraz chętnie nie dla siebie, ale tylko dlatego, iż wiedział, że się to Marcinowi podoba i że on go za to chwali i podziwia jego umiejętność. A Marcin, gdziekolwiek się znajdował, a szczególnie, gdy był sam, wciąż rozmyślał o Panu Jezusie.

Pewnego razu, w niedzielę, nieco później niż zwykle wracał z gór ze stadem. Gdy o zmierzchu wyszedł z bydłem z lasu na wolną przestrzeń, w świetle księżyca ujrzał coś leżącego na ziemi koło drogi, jakby człowieka z założonymi za głowę rękoma i usłyszał jego bolesne wzdychania. W pierwszej chwili przeraził się, lecz potem, kiedy podszedł bliżej, przekonał się, że to był obalony pień, na który padało światło księżyca, zaś w oddali cicho jęczały góry. Marcin stanął nad tym pniem i pomyślał: Tak leżał w owym ogrodzie Syn Boży i modlił się wzdychając, aż krwawy pot wystąpił Mu na czoło. Taka ogarnęła Marcinka żal, że idąc przez całą drogę płakał i życzył sobie, żeby mógł jak najprędzej pójść do Boga i oglądać Pana Jezusa. Upadłby przed Nim na kolana i dziękowałby Mu za wszystko!

Zauważyły gospodynie, że Marcin jest jakiś cichy i poważny. Stroiły sobie z niego żarty.

– Musi być poważniejszym, będąc ojcem tak dużego chłopca! Marcin nic nie odpowiadał na te przymówki; przecież Syn Boży nie otworzył nawet ust Swoich, gdy z Niego szydzono, a gdy Go bito, nie bronił się. Nie śmiał się już teraz Marcin jak dawniej. Gdy słyszał gospodarzy zaklinających się lekkomyślnie na duszę i na Boga, najchętniej, jeżeli mógł, uciekał.

– Przecież to i Bóg słyszy, i Pan Jezus. Bo jeżeli Bóg wszędzie jest i wszystko widzi, to też wszystko słyszy. Należy się, byśmy przed obliczem Jego wiedli życie ciche, łagodne i dobre, tak jak Jego Syn umiłowany.

Teraz Marcin zrozumiał, że ludzie zapomnieli o Bogu i żyli, jakby Go nie było.

Nareszcie minęła jesień. Gospodynie zamknęły bydło w oborach. Marcin otrzymał odzież i znów się śmiano, że skoro ma nowiutkie spodnie, kapotę, kamizelkę, koszulę, obuwie, a nawet i płaszcz, to może się już teraz ożenić! A on? Ileż to było we wsi opowiadania i śmiechu, gdy przyszedł z Jóźkiem do szkoły! Nauczyciel nie chciał go przyjąć, wiedząc, że dzieci będą się z niego śmiały; ale kiedy przekonał się, co Marcin umie, pozwolił mu przychodzić. Później mawiał, że nie miał jeszcze takiego ucznia, ani już mieć nie będzie. Marcin nie martwił się tym, że swawolne dzieci naśmiewały się z niego i na drodze wołały za nim: „głupi! głupi!”... A gdy spadł śnieg, rzucały za nim śnieżkami. Udawał, że ich nie słyszy. Cicho siedział na ostatnim miejscu w starej wytartej kapocie. Później posadził go pan nauczyciel wyżej, a gdy się zima kończyła, siedział już między tymi, którzy uczyli się katechizmu, pieśni i historii biblijnych.

– Gdybyście wszyscy byli takimi uczniami jak Marcin, byłoby radością być waszym nauczycielem – mawiał. Podczas gdy się bijecie i kłóćcie, on zawsze się uczy – mówił pan nauczyciel. Lubił on Marcina dlatego, że był schludny i bardzo usłużny. Marcin z Józkiem zawsze pierwsi przychodzili do szkoły. Marcin, jeżeli spostrzegł, że kantorowa klasy nie zamiotła, to sam to czynił – klasę przewietrzył, sprzątnął papiery spod ławek i uporządkował rzeczy na stole pana nauczyciela. Przynosił wody w konwi, a potem siadłszy powtarzał, czego się nauczył, gdy zaś przyszły najmniejsze dzieci, rozmawiał z nimi. Lubiły go one bardzo i rade słuchały, gdy im opowiadał o Panu Jezusie, jak umarł za nas, lub objaśniał historię biblijną, której się właśnie uczyły. Póki się nauka nie rozpoczęła, zajmował je w ten sposób, by nie skakały po ławkach. Bo dobrze pamiętał, co pewnego razu powiedział pan nauczyciel:

– Dzieci, ten kurz, którego narobicie, nim ja przyjdę, zabije mnie kiedyś!

Niekiedy dzieci nie chciały słuchać historii biblijnych. Wtedy, żeby tylko cicho siedziały, opowiadał im Marcin o ptaszkach, jak robią gniazdko w górach, jak wiewiórki skaczą, jak widział wielkiego węża, jak Burek w porębie spłoszył zająca. Często gdy pan nauczyciel do klasy wchodził, stały dzieci wokoło Marcina słuchając w najgłębszym milczeniu niby zakłęte, czasem śmiały się do rozpuku. Nie miał jeszcze nauczyciel w Raszowie takiego ucznia, który by się za trud nauczania tak odwdzięczał ani go mieć nie będzie!

A nie było dla Marcina rzeczą łatwą chodzić do szkoły i żywić przy tym dwoje ludzi. Gospodynie, ponieważ Marcin teraz nie pozostawał stale na ich usługach, dawały chłopcu tylko obiad. Dopóki wystarczały zapasy, które Józko w jesieni nagromadził i to, co Marcin za kosze i za miotły dostał, dopóty chłopcy odpędzali troski, lecz cóż będzie potem?

Marcin miał nieraz ręce popękane i skrwanione, tak pilnie w środy i soboty, gdy do szkoły po południu nie chodził, plótł w domu kosze lub z Józkiem dla kogoś drwa rznął i rąbał.

Ale Pan Bóg o chłopcach nie zapomniał; nie cierpieli głodu. Marcin chwalił się nawet, że jeszcze nigdy tyle ciepła nie zażył co tej zimy. W szkole zawsze się w piecu paliło, a do domu nanosili sobie chłopcy we dwóch, za pozwoleniem leśniczego, spory zapas suchych gałęzi. Starczyły im one do wiosny. – Nie spostrzegli się nawet chłopcy, kiedy minęła zima!

Tego roku nie miał Marcin z wczesnej wiosny szczególnej radości – wiosną kończyła się nauka szkolna, a latem nie mógł chodzić do kościoła, bo musiał paść bydło.

Gdy po raz pierwszy jesienią do kościoła przyszedł i usiadł na ostatnim miejscu, nie wiedział, w którą stronę ma najpierw spojrzeć. Obchodzono właśnie rocznicę poświęcenia kościoła i święto żniw. W wielkich żyrandolach pod sklepieniem i na ołtarzu paliły się migotliwe świece, organy brzmiały wspaniale, ludzie śpiewali. Ksiądz opowiadał, że kiedyś nie wolno było się schodzić do wspólnej modlitwy i słuchać Słowa Bożego. Później jednak pozwolono wybudować ten dom Boży. Należało się Bogu szczere dziękczynienie; Bóg jest wszędzie i wszędzie ludzi słyszy i widzi, jednak dobrze, że mają oni taki wspólny dom, gdzie im nic podczas nabożeństwa nie przeszkadza. Tu mogli Panu Jezusowi w spokoju wszystko powiedzieć i Mu dziękować, tu mogli słuchać kazania o Bogu. Potem przypomniał ksiądz ludziom, jak hojnymi plonami obdarzył ich Bóg tego roku. Marcin najchętniej byłby te słowa głośno poświadczył.

Po kazaniu nastąpiła ofiara. Marcin w dobrej wierze, że przez ofiarę Bogu okazuje się wdzięczność, wysypał wszystkie grosze, które miał w woreczku, choć były one już przeznaczone na kupno różnych potrzebnych rzeczy. Odtąd nie opuścił Marcin ani jednej niedzieli, lecz na chór między parobków nie chodził. Spostrzegł bowiem z wielką zgrozą, jak się tam szczypali, szturchali, szeptali. Wolał z Jóźkiem zająć miejsce na żebraczej ławce pod schodami, blisko drzwi, bo tam im nikt nie przeszkadzał. W spokoju mogli słuchać kazania, modlić się i śpiewać znane im pieśni. Śpiewali najpierw z pamięci, a potem z Jóźkowej książki. Nieraz oglądały się kobiety na Marcina – miał on taki czysty głos, jak dzwonek srebrny lub jak muzyka w górach, taki słodki i wzniosły, a śpiewał Bogu z całej duszy. Przyjemnie było patrzeć na chłopców, gdy czysto i schludnie ubrani zdążali do kościoła i cicho, i skromnie, jak w takim świętym miejscu przystoi, na swojej ławce siadali. Będzie ich ludziom brakowało, gdy chodzić do kościoła przestaną. W końcu nadeszła wiosna, ustało szczęście Marcina.

Ale na wiosnę przyszedł do wsi obcy człowiek, podróżny ten sprzedawał Pismo Święte i różne inne książki. Idąc przez wieś wstąpił też do chaty pasterskiej. Wiedział, że chłopcy sami mieszkają i zabawił u nich dłuższą chwilę. Poczęstowali go oni chlebem, który im wczoraj grabarzowa dała. Kolporter – bo tak nazywano obcego – pokazał chłopcom książki i rozmaite piękne obrazki, a zauważywszy, że Marcin pragnąłby mieć taki mały Nowy Testament, który mógłby brać ze sobą w pole, ale nie ma czym zapłacić, darował mu go i obydwu chłopcom dał jeszcze po jednym obrazku. Na jednym z nich namalowane było niebo i biały gołąbek niosący w dziobie listek z napisem: „Ja miłuję tych, którzy mnie miłują, a którzy mnie rano szukają, znajdą mnie – mówi Pan”.

Drugi obrazek przedstawiał wianek z kwiatów, w środku którego widniały słowa: „Synu mój, daj mi serce swoje!”

Marcin nie mógł się tym słowom nadziwić. – Czy to jest tak – rzekł do kolportera – że mnie Pan Jezus miłuje, a szukając pilnie, znajdę Go? To On przecież żąda, byśmy Mu serce oddali.

Długo rozmawiał kolporter z chłopcami, a mimo to nie zdążył odpowiedzieć na wszystkie pytania. Marcin znowu dużo dowiedział się o Panu Jezusie i o owej innej ziemi i życiu wiecznym. Trzy dni bawił kolporter we wsi, a każdego wieczoru wracał do chłopców. Gdy odchodził, a było to w sobotę, odniósł mu Marcin kufer z książkami do najbliższego miasta. Choć go ten ciężar prawie do ziemi przygriatał, chłopiec za nic w świecie nie dałby odebrać go sobie. Cieszył się, że mógł choć raz Pismo Święte nieść i nie ciążyło mu wcale.

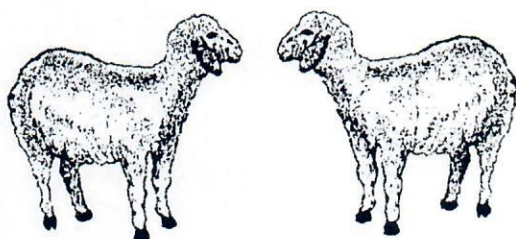
– Idźcie z Panem Bogiem, drogi przyjacielu! – życzył kolporterowi. – Niech wam Pan Jezus będzie pomocą, żebyście wszystko sprzedali, żeby sobie dużo ludzi te święte książki kupiło i żeby je czytali, a nie żyli dłużej na świecie bez Boga.

Daj to, Panie Boże, mój synu! – mówił kolporter. Naśladuj tylko wierne Pana Jezusa, aż przyjdzie; żebyśmy sobie w Jego obecności mogli znowu ręce podać. A Marcinku, gdyby ci kiedyś było źle na świecie, wtedy tym się pocieszaj, że Pan Jezus powiedział: „W domu Ojca mego wiele jest mieszkań; idę, aby wam zgotować miejsce. Znowu przyjdę i wezmę was do siebie”.

Przyrzekł Marcin, że sobie to zapamięta. Gdy mu potem kolporter za drogę chciał zapłacić, on omal się nie rozplakał.

Tyle dobrego nauczyliście mnie, książkę świętą i te obrazki darowaliście nam, a ja bym się wam niczym nie miał odwdziaczyć! – Kolporter pogłaskał chłopca, przytulił go do siebie, spojrzał mu w jego piękne, czarne oczy i ucałował w czoło, jak dobry ojciec miłe dziecko. I tak się rozstali...

Długo jeszcze Marcin siedział na kupie kamieni, patrząc za obcym; wierzył, że jak ten dobry człowiek, tak przytuli go kiedyś do siebie Ojciec niebieski. Już teraz wiedział, jak mu tam będzie.



*Przyleciała wiosna, przyleciała młoda,
Zakwitło na świecie tysiąc róż;
Już w słonecznym blasku kąpie się przyroda,
A ptaszki śpiewają: „Wstańcie już!”
Ejże, już ta zima sroga przeminęła,
Niejednej ptaszynie mateczka zginęła!*

Cieszyli się gospodarze, że będzie można dobytek wypędzić, bo już się w stodołach, szopach i stogach rozwidniło. Pocieszał się Marcin myślą, że znowu zobaczy swoje ukochane góry. – Miał tylko wielki kłopot z Jóźkiem.

Ze szkoły przed egzaminem wziąć go nie chciał, ale kto mu da na utrzymanie, jeśli Jóźko paść nie będzie? W poniedziałek mieli już po raz pierwszy wypędzać bydło. W niedzielę po południu Marcin stojąc przed chatą myślał:

„Gdzie to Pan Bóg podziewa te lody i śniegi! Niedawno jeszcze było tu przed chatą biało, a teraz już murawa się zieleni; a tam w dolinie na łąkach przed paru tygodniami jeszcze urządzali sobie chłopcy ślizgawkę, teraz zaś grają w piłkę, a dziewczęta w „kotka i myszkę”, tak, że ich wesołe głosy aż tu słychać”.

W takich myślach pogrążony nie spostrzegł Marcin zbliżającej się wójtowej, aż się do niego odezwała.

– Idę do grabarzowej – rzekła w ciągu rozmowy. Muszę ci Marcinie przyznać, że zaopatrzyłeś Jóźka na zimę doskonale; ma ciebie ta jego matka na tamtym świecie za co błogosławić. Ale kiedy ona nie żyje, a ty tak za szkołą przepadasz, tośmy się umówiły, że ci go przeżywimy aż do egzaminu, żeby nie musiał nauki przed końcem roku przerywać. Więc jeden tydzień będzie jadł u nas, drugi we młynie, trzeci u Hudcowej.

Marcin nie wiedział, jak ma wójtowej podziękować.

– Niech wam to, cioteczko, Pan Bóg tysiąckrotnie wynagrodzi! – Tak więc było już po kłopocie.

W poniedziałek nie było w całej wsi człowieka szczęśliwszego od Marcina. Jóźko pomógł mu zapędzić stado aż pod sam las; potem popędził do szkoły.

Po południu przybiegł w góry jak strzała. Marcin odłożył dla niego kawałek chleba i trochę kaszy z obiadu. Nie trzeba było Jóźka dwa razy prosić.

Gospodynie też dotrzymywały słowa, żywiły Jóźka aż do egzaminu; nie zubożały przez to, bo co człowiek dobrego uczyni, to mu Pan Bóg wynagrodzi.

– Czy nie smutno ci, Marcinku, w górach bez Jóźka? – pytały gospodynie chłopca co dzień. Ale Marcin nie miał czasu myśleć o samotności. Nim stado opatrzył i każdą krowę na inne miejsce zapędził, żeby się ze sobą nie bodły, mijało sporo czasu. Potem wyciągał z kieszeni swój Testament i czytał. Niekiedy przeczytał tylko dwa wiersze, bo nie szło mu jeszcze tak gładko jak Jóźkowi, ale nad tym, co przeczytał, rozmyślał przy pracy, a każdy dzień przynosił coś nowego. Pewnego razu dowiedział się, że gdy Pan Jezus narodził się, to nigdzie, oprócz stajni, nie było dla Niego miejsca. Bardzo żałował, że Syn Boży, będąc dzieckiem, musiał tak jak on leżeć na słomie w stajni, w żłobie.

Bardzo się też Marcinkowi spodobała historia o dwunastoletnim Jezusie w świątyni. W Nazarecie, gdzie mieszkał, nie było świątyni. Wtedy po raz pierwszy odbył daleką drogę do Jerozolimy, gdzie świątynia musiała być bardzo piękna. W Jerozolimie było wtedy mnóstwo ludzi i Jezus zgubił się swojej matce. Nieszczęśliwa trzy dni Go szukała, pytając się wszędzie, czy Go nie widziano? Już Marcin drżał, że Go może wcale nie znajdzie. I jakże się ucieszył, gdy Go wreszcie znalazła w świątyni! Cemu Go tam od razu nie szukała? Mogła przecież domyśleć się, że nigdzie indziej nie pójdzie! Często, bardzo często myślał Marcin o tej podróży Pana Jezusa. Idąc tak daleko pewnie po drodze kwiaty zrywał, a gdy szli górami, odpoczywali nieraz w chłodnym cieniu. Tak żywo Go sobie Marcin wyobrażał, jakby właśnie tędy miał iść, tym gościńcem przez Brzezówkę do Raszowa, a z Raszowa dalej w daleką, daleką drogę.

Tak więc miał Marcin zawsze o czym myśleć, a gdy mu przysła ochota, to sobie śpiewał, aż góry wtórowały.

Raz śpiewał sobie: „Gdzieś Ty, mój Jezu, Zbawco kochany? Któż mi pokaże drogę do Ciebie?” – Śpiew ten płynął tak daleko światem, jakby go umyślnie góra górze powtarzała, ażeby doszedł do Pana Jezusa, za którym Marcin tak tęsknił. Marcina zdziwiło, że mu te góry tak niby pomagały. Przestał śpiewać i rzekł: „Wiem ja już przecież, gdzie Ty jesteś, Panie Jezu; jakże pragnąłbym Ciebie zobaczyć! Wiem, że Ty znowu przyjdiesz, lecz kiedy to będzie?”

– „Będzie” – odezwało się w górach echo i jeszcze raz powtórzyło: „Będzie!”

Uśmiechnął się Marcin i zawołał jeszcze raz: Długo nie zwlekaj! A góry odpowiedziały: Czekaj! Czekaj! Czekaj!

Tego lata Marcin w niedzielę nie wyplatał koszy.

– Paść muszę i dla ludzi, i dla bydła, mawiał Jóźkowi, ale gdybym ko-sze plótkł, to ze swojej własnej woli i gniewałbym tym Pana Boga. Kiedy

nie mogę iść do Kościoła, święcę dzień święty w górach, pewnie mnie Pan Jezus i tam słyszy?

Gospodynie, widząc Marcina w niedzielę czysto ubranego, robiły mu przymówki – po co bierze w góry świąteczne ubranie?

Cioteczko i w górach też jest niedziela! – Powiedział grabarzowej.

– Jest, lecz ciebie tam przecież nikt nie widzi.

– Bóg mnie tam widzi, cioteczko! Dla Niego się stroję, nie dla ludzi. Odkąd wiem, że przykazał dzień ten święcić, nie mogę przed Jego obliczem chodzić w zabrudzonym ubraniu.

Uznała grabarzowa, że chłopiec dobrze mówi. Nieraz jej się te słowa przypominały, gdy w dzień świąteczny chciała założyć brudny fartuch; natychmiast go odrzucała i brała czysty.

W tym czasie na górnym końcu wsi umarła sędziwa młynarka; Marcin otrzymał po niej w spadku wełniany szal; nie był już nowy, ale ładny, barwny, w same kwiaty. Bardzo się chłopcom podobał. Marcin brał go ze sobą w góry i tam na skale rozpostarłszy kładł nań Testament jak na ołtarzu; sam zaś modlił się, śpiewał i czytał. Tak święcił niedzielę do południa w samotności, a po południu z Józkiem.

Gdy już nareszcie było po egzaminie, zaczęli chłopcy znów pędzić życie jak zeszłego roku. Ścinałi różgi, Marcin je plótł, a Józko, gdy nie chodził za bydłem, zbierał poziomki, maliny, borówki, grzyby i następnie je sprzedawał. Blisko dwa tygodnie nosił walizkę jakiemuś panu, który wykonywał pomiary w górach. Miał się Józko przez ten czas dobrze, jak pan, a na koniec otrzymał dwa nowe złote. Dołożywszy do tego jeszcze to, co mieli za grzyby i maliny, dali chłopcy pieniądze grabarzowej, gdy szła do miasta. Kupiła Józkowi nowe ubranie i oddała mu buty do naprawy.

Nielatwo opisać radość, jaką chłopcy z tego mieli. Wszyscy się razem z nimi cieszyli, nawet Burek sumiennie obwąchał swego przyjaciela, jak by musiał dopiero nawyknąć do tej parady. Józko był i bez tego ładnym chłopakiem.

Raz w niedzielę otworzył się Marcinowi Testament na samym końcu.

Przeczytał nagłówek: „Rozdział 21”, a pod nim: „Widziałem nowe niebo i nową ziemię”. Aż cały zapłonął z radości. Bez wątpienia znalazł to, czego od dawna szukał. Przecież ten człowiek, co go nauczył tekstu: „Tak Bóg umiłował świat...”, mówił, że o tej ziemi jest napisane w Nowym Testamencie na końcu. Tym razem Marcin nie przestał, dopóki nie przeczytał tego rozdziału i połowy następnego.

Ależ było pięknie na tej nowej ziemi! Nie na próżno zawsze chłopiec myślał, że tam, gdzie Pan Bóg przebywa i dokąd ludzi zabiera, świat musi

być piękniejszy. Czytał teraz, że na tej ziemi jest jedno wielkie miasto zbudowane z samych drogich kamieni. Miasto to ma dwanaście bram, z których każda jest zrobiona z jednej wielkiej perły, a ulice są tam wyłożone złotem. Przez środek miasta płynie rzeka; wzdłuż tej rzeki rosną drzewa, które rodzą owoce dwanaście razy w roku. A w tym mieście nie ma świątyni, bo tam Pan Bóg chodzi po ulicach i rozmawia z ludźmi. Pan Jezus ma tam swój złoty tron i jest Królem tych wszystkich, których do siebie bierze. Tam oni przebywają, służą Mu i oglądają Go. A Jezus z nimi będzie mieszkał, a oni z Nim na wieki. O, to rzecz wspaniała!

Marcin spojrzał na niebo. Spoza Brzezowskiej Góry wychodziły chmury, a słońce świeciło na nie złocąc je; wyglądało to jak złota brama do tego pięknego miasta. Lecz znalazł Marcin i to w Testamencie, że do miasta wejdą tylko ci, których imiona zapisane są w księdze żywota. Ogarnął go strach.

– Kto wie, czy jest tam moje imię?

Rzucił się na kolana prosząc: „Panie Jezu, Ty powiedziałeś, że nam wszystko dasz, o co Cię prosić będziemy. Więc ja Cię proszę, zajrzyj do tej Twojej księgi, czy mnie tam wpisałeś, a jeżeli nie, to bardzo Cię proszę, zapisz moje imię: Marcin, jak i mojego ojca nazywali. Ty to pewnie będziesz wiedział! Żeby nie zaszła pomyłka, gdy kiedyś aniołowie Twój będą wołali. Marcinów jest dużo i tu w Raszowie. Nie będę wiedział, kiedy się mam zgłosić. A ja chcę przyjść do Ciebie i służyć Ci tam wdzięcznie za to, żeś mnie umiłował i za mnie umarł! Amen”. „Amen” – odpowiedziały góry uroczyście.

I uwierzył Marcin, że imię jego jest już teraz zapisane, że i on wejdzie do miasta. Odtąd każdego dnia myślał o tym, jak się tam Pan Jezus przechadza nad wodą w cieniu kwitnących drzew, jak Mu aniołowie grają i śpiewają, a z całego świata ludzie bramami wchodzą, aby Mu służyć.

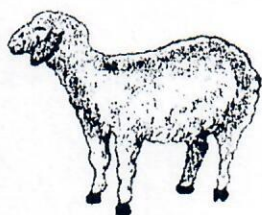
Marcin się cieszył:

– Jak to też będzie, gdy ja tam kiedyś przyjdę! Czy On mnie od razu zobaczy i pozna? Ale ja Go zaraz poznam, bo będzie ze wszystkich najpiękniejszy i będzie miał koronę!

Nie bój się! – Pocieszył Marcin Jóźka, który się przestraszył, gdy spostrzegł, że się im w kuchni ściana kruszy i pochyla. – Przecież tu nie pozostaniemy długo! Pan Jezus poszedł, żeby nam miejsce przygotować w tym Swoim pięknym mieście. Jeżeli Mu miejsca nie starczy dla nas obu, to ja ciebie znowu wezmę do siebie i będziemy tam znowu razem mieszkać jak tu na ziemi.

Gdy się ściana rzeczywiście zawaliła, byli chłopcy właśnie w górach. Wróciwszy nie mogli się nawet wcisnąć do izby. Ludzie się obawiali, że

cała chata zwali się na chłopców i radzili im, aby nocowali raczej na dworze. Usłuchali oni i spali w szopie, a z nimi Burek.



Tego lata często padało i miał Marcin kłopot z bydłem; raz, aby się stado nie przejadło mokrą trawą, to znowu, aby nie przyszło głodne do domu. W dodatku pasł on tego roku więcej owiec, a te się wciąż rozbiegały. Dobrze, że je Józko tak szybko umiał policzyć, inaczej by nieraz któraś z nich została w górach.

Pewnego wieczoru zatrzymali Józka u leśniczego nieco dłużej; posłali go z listem do wsi, musiał więc Marcin sam ze stadem wracać. Dwa, trzy razy liczył owce, czy są wszystkie. Po drodze myślał o tym, jak niespokojne było bydło; tyle się musiał nim zajmować, że czytać nie mógł prawie wcale. Przeczytał ledwo dwa wiersze, jednego nie zrozumiał: „Przyszedł Syn człowieczy, aby szukać i zbawić to, co zginęło”. Czego to Pan Jezus przyszedł szukać? Ludzi? Jeżeli ludzi, to dlaczego ich szukał? Ach, żeby ktoś mi to wytłumaczył!

Zamyślony przypędził stado do wsi, lecz jednej owieczki brakowało. Była to owca młynarza.

Ty taki i owaki! Wymyślała młynarka Marcinkowi, krzycząc co jej tylko ślina na język przyniosła. Tak mi się odwdzięczasz za to, że ci chłopca chowałam. Kto wie, jakie wy tam sztuczki wyprawiacie. Łajała i przeklinała okropnie.

Marcin stał przez chwilę jak wryty. Przykro mu było, że gospodynię rozgniewał, a więcej jeszcze, że owieczka zginęła. Co biedna robi tam gdzieś sama.

Pobiegł Marcin z powrotem w góry. W tej chwili wyłonił się spoza chmur jak tarcza księżyc, jakby chciał powiedzieć: – Nie bój się Marcinku, ja ci pomogę! Ty szukaj, a ja ci będę świecił!

Gorycz dodała chłopcu siły; pędził bez opamiętania i nie zatrzymał się, aż cały spocony przybiegł na pastwisko. Tam upadł na ziemię prawie bez tchu i leżał tak przez chwilę, aż mu serce przestało bić gwałtownie. Potem zaczął szukać i wołać:

– Na, mała, na, na, na! Wołał długo daremnie, wszędzie było cicho. Wołał z żalem, wołał z płaczem. Nareszcie gdzieś z dali odpowiedziało mu żalosne „Me Me-e-e-e!”.

– Owieczko, moja owieczko – zawołał ucieszony i popędził przez ciernie i krzaki, przez doły, potoczki, kamienie, powalone drzewa i przez sterczące korzenie. Tu przewrócił się, tam się zahaczył, tu coś ukuło go w bosc nogi, tam się zadrasnął, ale na nic nie zważał, tylko wołał i szukał, aż znalazł. Lecz gdzie? Właśnie zaświecił księżyc. Głęboko wśród skał i krzaków leżała owieczka zaplątana wełną w ciernie i nie mogła się wydostać. Jeżeli jej stamtąd pastuszek nie wyniesie, nie wyjdzie sama, zginie.

Marcin zastanowił się, a jakiś głos odezwał się w nim. – „Przyszedł Syn człowieczy, żeby szukać i zbawić to, co zginęło”. I wtedy zrozumiał słowo! Ta owieczka sama nie wydostałaby się z matni, tak jak i ludzie grzeszni nie mogli sami przyjść do nieba: owieczkę zatrzymały ciernie, a ludzi zło, które czynili oraz szatan i śmierć.

Dlatego Pan Jezus przyszedłszy, szukał i wołał, a która owieczka Mu się odezwała, tę ratował.

I mnie tak znalazł, i mnie tak wydzwignie, i mnie! – Teraz zrozumiał Marcin ten fragment.

Schodził w dół za owieczką. Nagle kamień usunął się spod jego stopy. Ratunku! W trwodze, by ciałem swoim nie zabić owieczki, uczeplił się rękoma kamienia; ale pod jego prawą ręką oberwał się on od podłoża.

– Jeżeli jeszcze pod lewą ręką się usunie, zabije mi niechybnie owieczkę! – zdążył pomyśleć Marcin i puścił lewą rękę. Wtedy zahuczało mu w uszach, przed oczami zrobiło się czarno, a z dala odezwał się głos jakby wielu dzwonów... i wszystko ucichło. Jak długo to wszystko trwało, Marcin nie wiedział.

Potem poczuł coś ciepłego na twarzy i usłyszał jakieś dziwne, żalosne skomlenie. Poznał – to Burek wyje. Usłyszał jeszcze jakiś drugi głos, ale nie mógł oczu otworzyć.

– Gdzie jestem? – Nad nim stał Burek, obok niego leżała w cierniach owieczka i żuła spokojnie. Na niebie gasły gwiazdy i już dzień zaczynał świtać, a tam w górze, na skale klęczał, Jóźko i płakał. Przypomniawszy sobie Marcina, co zaszło wczoraj.

– Spadłem – pomyślał; i gdybym się zabił, byłoby tak jak z Panem Jezusem; On też szukał i znalazł, lecz umarł. Musiał umrzeć za owce swoje! Tak jak ja obudziłem się teraz, tak On trzeciego dnia zmartwychwstał i od tego czasu może już owce swoje ratować i brać ze sobą w górę, jak ja teraz tę owieczkę.

Gdyby nie Jóźko, który w górze zawodził, byłby Marcinek na nowo usnął, taki był słaby. W końcu się podniósł i z wielkim mozolem zaczął wdrapywać się z owieczką po skałach w górę. Jóźko opowiedział mu, jak nie mogąc bez niego zasnąć, poszedł go z Burkiem szukać. Obaj długo nie mogli się uspokoić.

Z trudem Marcin doszedł do wsi; od wczorajszego obiadu nic nie jadł, wieczorem pędząc z powrotem stado wyczerpał siły, spocił się, a spadłszy leżał aż do rana na kamieniach. Lecz za cały świat nie oddałby tej radości, że może gospodyni oddać owcę żywą i zdrową. Będzie i ona się cieszyć. Ale ona zamiast mu podziękować okropnie go zwymyślała. Inne gospodynie także szemrały gniewnie, że tak późno po bydło przyszedł i tylko pogroźkami go częstowały, żeby znów czegoś nie nabroił. Zmarł się biedak jak nigdy dotąd. Mozolną mu była droga z gór do wsi, lecz stokroć boleśniejszą z powrotem w góry. Dowlókłszy się na pastwisko, oddał dozór nad stadkiem Jóźkowi z Burkiem, sam zaś upadł na skałę i leżał. O gdyby teraz gospodyni widziała jego twarz smutną i strapioną, żałowałaby, że mu wypomniała jego ojca i matkę i powiedziała:

– Przybłęda jesteś, jeszcze nam tu będziesz szkodę wyrządzał!

Na próżno Jóźko próbował wszystkich sposobów, nie mógł niczym Marcina rozweselić. Nawet do śpiewu nie czuł ochoty. Gdy Jóźko czytał, wtedy słuchał, lecz nie rozmawiał o tym, jak to zawsze czynił. Tak było i na drugi i na trzeci dzień.

W niedzielę pozwolił Jóźkowi paść, a gdy czytali, otworzyła im się książka tam, gdzie zostało napisane, że ludzie chcieli ukamienować Pana Jezusa za to, że uzdrowił człowieka w sabat. Westchnął Marcin:

– Ciebie, Panie Jezu, nawet zabić chcieli za to, że uratowałeś człowieka od śmierci. Mnie tylko zwymyślały gospodynie – a nawet tego nie umiem przeboleć. Odpuszczę tej gospodyni, jak i Ty odpuszczaleś!

Zapłakał Marcin żałośnie, a gdy przestał, był już znowu taki sam jak dawniej. Bydła jeszcze sumienniej pilnował, a dla Jóźka był samą tylko dobrocią. Uprzejmiej ludzi pozdrawiał i uśmiechał się do nich jak przedtem. Tylko jedno było inaczej: nie mógł już Marcin wdrapać się na żadne drzewo, z trudem tylko wlaził na skałę, a gdy szedł pod górę, musiał nie-raz trzy razy odpoczywać.

Nie jadł prawie wcale, miewał tylko wciąż duże pragnienie. Był tak biały, jakby nigdy na niego słońce nie świeciło, a oczy mu się jakoś dziwnie szklily, jak dwie gwiazdy. Tego roku wcześniej przestano paść. Jóźko pocieszał Marcina jak umiał:

– Będziemy znowu do szkoły chodzili; pan nauczyciel posadzi nas w jednej ławce, bo ty już teraz wszystkiego uczyć się możesz.

Gdy po raz ostatni byli w górach, kazał Marcin Józkowi bydło spędzić, a sam stał na tej skale, gdzie to przesiedział niejedną chwilę, rozmyślając, czy wszystko zawsze tak było – a jeżeli nie, kto to wszystko uczynił, gdzie mieszka Pan Bóg – i dokąd On bierze ludzi, którzy umierają?

Dziś nie pytał się już więcej, bo wiedział wszystko. Nawet i to, że był niegdyś czas, gdy niczego nie było na ziemi, gdy nawet i tej ziemi nie było, a był tylko Bóg; – i że Bóg uczynił wszystko, co widzimy, On mieszka niewidzialny w niebie, a ludziom dał ziemię. Wiedział Marcin teraz, że ludzie byli nieposłuszni i źli. Odeszli od Boga, lecz On ich tak pokochał, że Syna Swego jednorodzonego zesłał, aby każdy, kto wierzy w Niego, nie zginął, lecz miał żywot wieczny. Jego Syn przyszedł na świat, aby szukać i zbawić tych, którzy zblądzili. Umarł na krzyżu za swoje owce i tak je wy-ratował od piekła.

Potem żywy powstał z grobu i wrócił do Ojca swego. Tam kazał zbudować miasto takie, jakiego na ziemi nikt nie widział, a gdy już dla każdego będzie przygotowane miejsce, i gdy już wszystkie Jego owieczki będą zapisane w księdze żywota, wtedy przyjdzie i weźmie je do Siebie, aby były tam, gdzie On jest, aby Mu służyły na wieki. Wiedział Marcin, że prawdą było, co w pieśni jest napisane: „Kto chce przyjść do Niego, niechże Mu też służy”. Podziękował Marcin Panu Bogu, że mu pozwolił to wszystko poznać i że w kraju chrześcijańskim nikt nie musi żyć bez Boga, że łatwo wszystkiego się o Nim dowiedzieć można. Wystarczy tylko gorliwie Pana Boga prosić – On każdemu przez ludzi lub przez Pismo Święte wszystko powie; wszystko pozwoli zrozumieć i na pewnej drodze stanąć.

Potem powiódł Marcin oczami po górach, po tym pięknym świecie. Dolina była spowita w mgłę, jak gdyby po pańskiej bogatej oblubienicy w dzień weselny spływał biały welon. Na góry świeciło jeszcze słońce, a blade jego promienie muskały coraz bledszą twarz Marcina. Widziało go ono tej jesieni po raz ostatni w górach, a do wiosny daleko...

Żółte, czerwone, czarne i złote liście opadły na ziemię, a w górach znowu dźwięczała owa wzniosła, a smutna muzyka, jak na pogrzebie jakiegoś wielkiego pana. Każdy listek zdawał się szeleścić: Marcinku, dobranoc, już ciebie nigdy nie zobaczymy... i nagle tak dziwnie zrobiło się Marcinowi przy tym pożegnaniu, jak dotąd jeszcze nigdy. Wyciągnął rękę do tego cudownego świata, jakby go chciał przycisnąć do siebie, a z oczu płynęły mu łzy.

– Z Panem Bogiem zostańcie! – Zawołał; a lasy powtórzyły wyraźnie: „Z Panem – Bogiem – zostań!”

Potem poszedł za stadem; lecz choć z gór wyszli, ciągle jeszcze się oglądał, dopóki tylko widać było polanę.

Wrócili do domu. Marcin nie chciał nic jeść, chociaż wójtowa dała im dwa kawały smacznego chleba. Prosił tylko Jóźka, żeby mu przeczytał ten fragment, który czytali w górach, gdzie Pan Jezus powiada: „Kto do mnie przychodzi, łaknąć nie będzie, a kto wierzy we Mnie, nigdy pragnąć nie będzie. Każdy, kto widzi Syna, a wierzy w Niego, ma żywot wieczny zapewniony, a Ja go obudzę w dzień ostateczny”. Potem pomodliwszy się poszli spać.

Ale Marcin tylko drzemał. Noc była bardzo zimna; wszystkie kwiaty pomarzęły. Księżyc świecił na chłopców, gwiazdy lśniły jak wielkie łyzy. Bardzo było zimno.

Nagle Marcin przebudził się, bo poczuł chłód. Leżeli razem przykryci Jóźkową kołdrą, a Józek kaszlał przez sen.

– Zimno mu jest – pomyślał Marcin.

Kołdra jest za mała, obaj się pod nią nie zagrzejemy, niech ją ma Józek całą, ja i tak jakoś dotrwam do rana.

Przykrył Jóźka, a sam kurcząc się wciągnął na siebie swój stary płaszcz. Ale to było tak, jakby nic nie miał na sobie. Zaczęło nim zimno trząść, aż mu zęby dzwoniły, a tak go to zimno jakoś kłuło wszędzie: w piersi, w bokach, na plecach, że już nie wiedział, co począć.

– Józienku – wołał z całej siły, ale jakoś nie mógł wydobyć z siebie głosu. Jóźku! Proszę cię, nakryj mnie swoją kołdrą, bo mi jest bardzo zimno!

Nie słyszał go jednak Józek, tylko spał.

– On tak śpi, Panie Jezu, jak ci Twoi uczniowie, gdy ich najbardziej potrzebowałeś w Ogrójcu! – Skarżył się chłopiec.

Wiele dobrego Marcin wyświadczył Jóźkowi; nieraz był głodny, aby on mógł jeść, a Józek teraz spał i nic nie słyszał.

– Ach, Panie Jezu, mnie jest tak bardzo źle, a nie mam nikogo, kto by mnie przykrył, a sam się już podnieść nie mogę; nie opuść mnie, mój Panie Jezu, pomóż mi.

Wtedy zrobiło mu się ciepło i zaczął się tak pocić, jakby go całego w gorącej wodzie zanurzono. Poczuł się lepiej, zamknął oczy i zasnął.

Była jedenasta godzina przed północą. Grabarz, który był jednocześnie stróżem nocnym, wytrąbiwszy sygnał, zabierał się właśnie do domu, żeby się przespać. Ale przecucie mu podpowiedziało, żeby zajrzeć jeszcze do chłopców. Lubił on na nich śpiących popatrzeć. Niekiedy obejmował Marcin Jóźka za szyję i tak leżeli chłopcy uśmiechnięci, szczęśliwi, podobni do królewiczów, że aż radość była na nich spojrzeć.

Wszedł grabarz do szopy. Światło księżycy padało na chłopców. Józek przykryty aż po uszy kołdrą, a Marcin o krok dalej, skurczony na gołej

słomie, pod starym płaszczem; czoło i policzki miał czerwone jak ogień, oczy otwarte, jakieś świecące jak gwiazdy na niebie.

– Marcinku, ty nie śpisz? Jak wy leżycie? Ten ma całą koldrę, a ty nic?

Ale Marcin nic nie odrzekł, tylko spoglądał i uśmiechał się.

Do śmierci nie zapomniał grabarz tego pięknego uśmiechu. Zerwał płaszcz z siebie, prędko nakrył nim Marcina.

– Marcinku, co ci jest, czemu nic nie mówisz, nie poznajesz mnie?

Chłopiec wstrząsnął głową i rzekł:

– On już przyjdzie niedługo, ja go oczekuję.

– Kogo?

– Syna Bożego! Przyjdzie po mnie. Teraz już idę przez tę wodę wielką; po biodra, po samo serce mi sięga... Ale ja się nie boję!

– Marcinku, obudź się; nie wiesz, co mówisz! – Grabarzowi lzy stanęły w oczach. Ale Marcin dalej rozmawiał z kimś innym.

– Przyszedłeś! Pięknie Cię witam! Ty mnie trzymasz; jakiś Ty dobry! Ja się już trzymać nie mogę, wszystko mnie boli... Ta owieczka leżała tak głęboko, a ja spadłem idąc po nią i bardzo się potłukłem. A oni mi jeszcze złorzeczyli. Ale ja nie gniewam się, przecież byli dla mnie dobrzy, bardzo dobrzy, choć byłem dla nich tylko przybłądą.

– Niech im to Pan Bóg wynagrodzi; wychowali mnie i Józka mi dali, i żywili. Dobrze nam było razem na świecie, kochaliśmy się. Ale teraz ja wolę pójść z Tobą... Wiem, stoisz przy mnie i tam Cię ujrzę, gdy te ciemności się rozstąpią... Prawda, Panie Jezu? Mój miły Panie Jezu!

Uśmiechnął się Marcinek i zamknął oczy.

Grabarz pobiegł po żonę i wzięli chłopców do siebie do izby. Przyszły i inne gospodynie, chociaż była noc. Pukał grabarz do ich okien wołając:

– Jeżeli się boicie Boga, pójdźcie! Z Marcinem coś się dzieje!

Marcinek nikogo nie poznawał, ani Józka, który przy nim płakał, jak wtedy w lesie na skale. Przemocą musiano Józka oderwać, aby można było podejść do Marcinka.

Próbowaly niewiasty wszystkich sposobów.

– Gdy rano nie będzie z nim lepiej, odezwala się młynarka, pošlemy po doktora.

Ugotowano jakichś ziół. Wypiwszy je Marcin odzyskał przytomność i spojrzał na gospodynie:

– Dziękuję wam bardzo za wszystko... – mówił szybko – ja żyłem bez Boga na świecie... a żadna z was nic mi nie powiedziała... a same tak żyjecie – mówił dalej ze smutkiem – jakby Boga nie było i wierzycie w to,

co nie jest prawdą... Gdy umrę, nie dawajcie mi pieniędzy na przewóz... Pan Jezus za darmo przeprowadzi... i nie bójcie się, że przyjdę was straszyc... o, ja już wolę nie przyjść nigdy..., bo też to jest bardzo daleko... mógłbym zabłądzić.

W głuchym milczeniu słuchały niewiasty, bo chłopiec mówił tak, jak to było w Piśmie Świętym.

– Nie bój się, Marcinku – odezwał się grabarz – bo ty jeszcze nie umrzesz.

Przyszło i przejdzie, i będziesz jeszcze nasze stado pasał.

A jakie piękne ubranie ci sprawimy – obiecywały kobiety. A Jóźka ci damy na pomocnika i ubierzemy go także, a obu was żywić będziemy.

– Przez zimę możecie mieszkać u nas – powiedziała młynarka – a na wiosnę naprawimy wam chatę lub zbudujemy nową!

– Mam już zbudowaną – tam !... A dziękuję wam za wszystko... Podniosły go kobiety i ułożyły mu wyżej pościel pod głowę.

– Sen klei mu oczy – mówiła grabarzowa. – Zasypia.

Z trudem podniósł Marcinek jeszcze raz ciężkie powieki. Jóźko rzucił się na niego i płakał.

– Nie płacz! Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto Weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny... i ty...

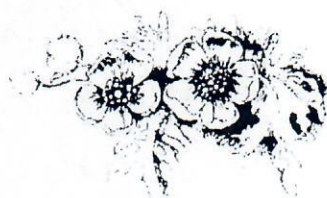
Darmo czekały gospodynie, że powie coś więcej; westchnął i usnął.

– Zostawcie go – radził grabarz – niech śpi, będzie mu lżej!

Zaczynał się dzień. Grabarzowa spojrzała na Marcinka.

– Cioteczko! – krzyknęła na Hudcową – On już nie oddycha!

Stało się tak, jak góry przepowiedziały. Przyszedł Pan Jezus i zabrał Marcinka. Nie na darmo żegnało go wieczorem słońce; nie ujrzy go już więcej.



Gdy przed piętnastu laty Marcinkową matkę chowano, miała ona ludzi na pogrzebie jak pani. Ale takiego pogrzebu, jaki miał Marcin, Raszowianie nie pamiętali. Wszystkie dziewczyny we wsi ozdobiły go kwiatami, wszyscy młodzieńcy chcieli nieść trumnę. Pan nauczyciel kazał zebrać się wszystkim dzieciom szkolnym. Marcin szkołę tak szanował, że chciał go nauczyciel za to uczcić należycie. Na trumnie złożono wieniec z samego

rozmarynu, a drugi ze wstążkami zawieszono na krzyżu. Pierwszy za trumną szedł biedny Jóźko z odkrytą głową. Pogrzebano Marcinka obok matki. Grabarzowi, gdy po odejściu wszystkich zasypywał grób, tak łzy płynęły po policzkach, jak jeszcze nigdy.

– Niech ci ziemia lekką będzie, Marcinku! – szeptał.

Przyjdzie wiosna, przyjdzie! Zakwitną znowu łąki i zazielenią się góry. Czekać będą na Marcina, żeby przyszedł ze stadem raszowiańskim, ale na próżno! On już nie przyjdzie! Odszedł do tej ziemi dalekiej, gdzie widać już Boga i Pana Jezusa. Tam będzie się przechadzał, gdzie drzewa dwanaście razy w roku rodzą owoce; tam, gdzie nie ma śmierci, ani nędzy, ani bóleści, lecz sama radość, anielska chwała i wspaniałe śpiewy w tym pięknym mieście z perłowymi bramami i ze złotymi ulicami, gdzie domy są z samych diamentów.

Pochowali Raszowianie Marcinka i płakali nad nim. Nigdy już nie mieli równego jemu pastuszka, który by tak miłował Boga, szanował ludzi i doglądał stada. Niedola pasterza Marcina skończyła się. A Jóźkiem zaopiekował się Pan Bóg.

„Byliście w tym czasie bez Chrystusa, dalecy od społeczności izraelskiej i obcy przymierzom zawierającym obietnice, nie mający nadziei i bez Boga na świecie. Ale teraz wy, którzy niegdyś byliście dalecy, staliście się w Chrystusie Jezusie bliscy przez krew Chrystusową. Albowiem On jest pokojem naszym...”

Efez. 2,12–14.